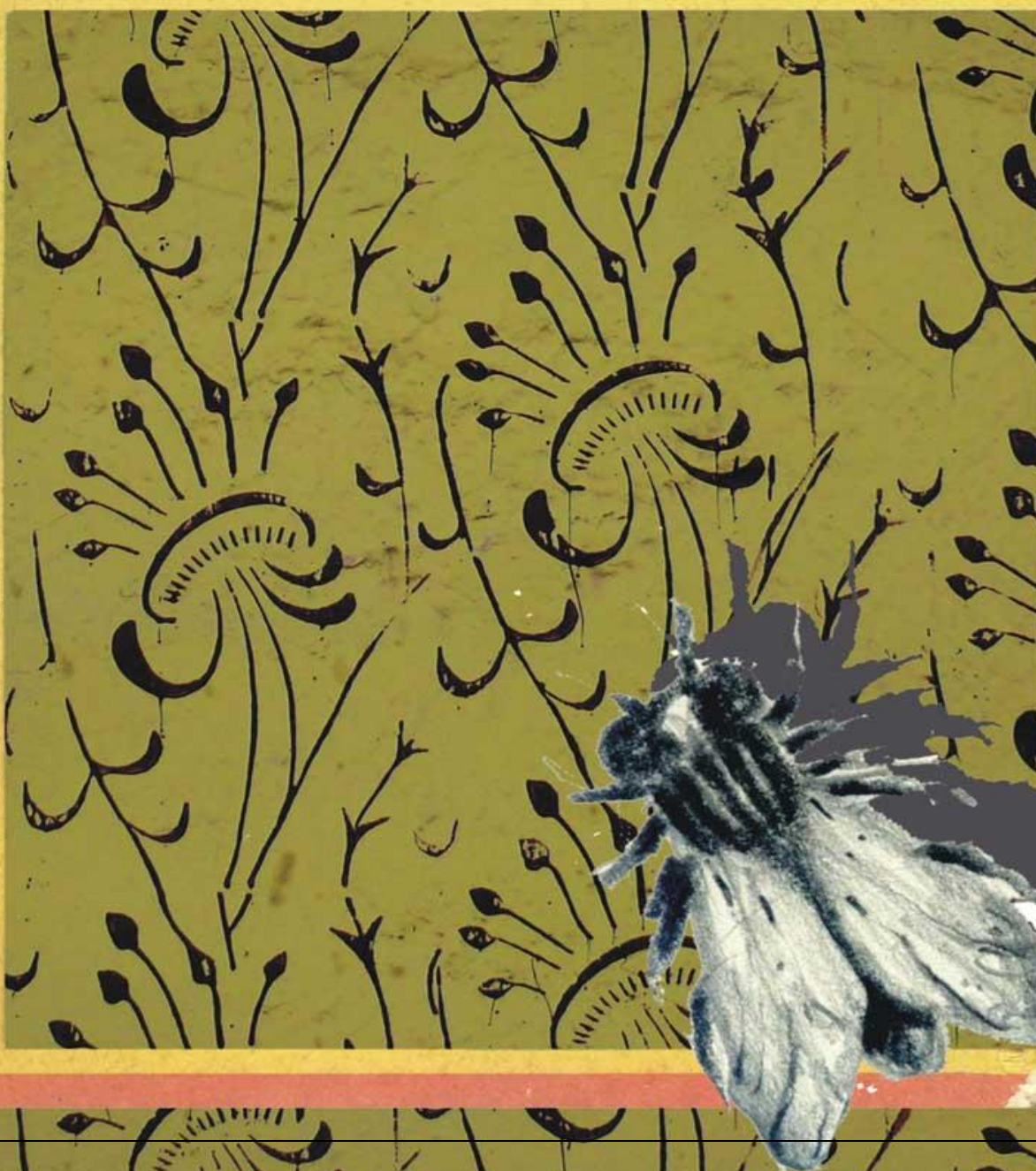


Leon Brofelt

Anioł w majonezie

Czyli opowiadania z końca wieku
oraz miłe złego początku



Leon Brofelt

Anioł w majonezie

czyli opowiadania z końca wieku oraz miłe złego początki

do wydania przygotował, posłowiem i notką o autorze opatrzył Tomasz Kostro
okładkę zaprojektowała i opracowała plastycznie Ewa Toczowska

Copyright by Tomasz Kostro & e-bookowo 2008

Ilustracje i okładka: copyright Ewa Toczowska

ISBN 978-83-61184-14-0



www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2008

www.e-bookowo.pl

[Kup książkę](#)

Kasi i Sebastianowi
najmilszej parze Europy z wdzięcznością za inspirację

OPOWIADANIA Z KOŃCA WIEKU	6
Pomysł (opowiadanie kryminalne)	6
Pomyłka (opowiadanie autentyczne)	36
W sanatorium (opowiadanie zaduszne)	54
Kumulacja w Portkach (opowiadanie rodzinne)	67
Anioł w majonezie (opowiadanie mistyczne z licznymi cytataми)	86
Pociąg (opowiadanie jakoby prawdziwe)	95
Romeo i Lukrecje (opowiadanie z drugiej ręki)	106
Tapczan (opowiadanie nieprawdopodobne)	138
MIŁE ZŁEGO POCZĄTKI	147
Jak zostałem literatem, czyli niemiłe złego początku	147
Soso w przedszkolu	151
Pierwszy i jedyny	159
Nie musicie towarzyszu uważać	163
Opaska na oku	170
Z powodu kardynała	173
Dziewczyna z warkoczami	180
Wenus z jeziora Kalejty	187
Posłowie	195
Leon Brofelt – kilka słów o autorze i "Aniele w majonezie"	195

Opowiadania z końca wieku

Pomysł (opowiadanie kryminalne)

– Mam pomysł! – oznajmił gromko Gabryś wchodząc do mieszkania.

Zzuł buty i zatarł ręce. Minę miał dziarską, szelmowski uśmieszek błakał mu się pod wąsem.

– O Boże! – jęknęła Luśka w odpowiedzi, głośno zaś powiedziała:

– Nie waż się ruszyć tej setki w kredensie! To na wyjazd dzieci!

Głos miała skrzekliwy, jak rozdzierana blacha. Była w kuchni.

Nawet do niej nie zajrzał. Zwalił się na tapczan i ciągle lekko uśmiechnięty wgapił się w płamę na suficie. Wyglądał jak nieboszczyk przygotowany fachową ręką do ostatniej podróży, taki pogodny, wyprostowany, z rączkami nabożnie splecionymi, tylko gały mu zamknąć, o kciuk zahaczyć różaniec. No i ubrać odpowiednio! Był w wystrzępionych dołem džinsach i niegdyś białej koszulce ze spranym napisem: „Keep smiling. Boss live idiots”.

Pomysł wpadł mu do głowy pod Urzędem Pracy. Wychodził właśnie z gmachu po odebraniu nędznego zasiłku (jeszcze tylko raz czekała go taka frajda) kiedy przed urzędem spotkał dwu kolegów ze szkoły. Przysiedli na ławce, popalili, pogawędzili, powspominali. Kupę lat! Jak leci? I takie inne głupstwa. Widywali się rzadko a od matury, jakby nie patrzeć, ponad dwadzieścia lat minęło. Nie bardzo więc mieli o czym rozmawiać. Opowiadać sobie nawzajem jak to pracę tracili? Licytować się, który bardziej się narażał, aby taki chwalebny osiągnąć status? Klęli tylko kwieciście i mało konkretnie. Nie wiadomo czyje mamuśki mieli na uwadze.

Na parking, tuż przed zajętą przez nich ławkę, zajechała luksusowa fura z szelestem nowych opon i wyuzdanie lubieżnym pomrukiem silnika. Gość z limuzyny nie wysiadł,

gapił się tylko na tę trójkę wykolejeńców, na Gabrysia szczególnie. Wtedy właśnie pomysł przeszył gabrysiowy mózg, aż zabolalo.

Wstrząsnął się, wstał, poprawił portki, pstryknął petem na trawnik.

– No to cześć! Do miłego... Wpadnij który kiedyś.

Poszedł. Po drodze pomysł w myślach pieścił. Zanim doszedł do domu przerobił go na plan do wykonania.

– Nogi ci śmierzdzą. – powiedziała Luśka przechodząc koło tapczanu. Skrzywiła się przy tym, jakby miała powód. Wielkie rzeczy! Gorąco, buty na gumie to i nogi śmierzdzą. Jej to i owo różami też nie pachnie, a przecież uwag na ten temat nie wygłasza. Zresztą, mniejsza z tym. Teraz nie ma głowy do głupstw. Wpadł na cholernie dobry pomysł i musi się skupić, szczegóły przemyśleć, dobór współników starannie rozważyć. Wiadomo, niejeden dobry pomysł położyło gówniane wykonanie. Rzecz solidnie przygotowana musi się udać! Nie ma prawa być inaczej!.

Gabrys uchodził niegdyś za łebskiego chłopaka – w wojsku na przykład – doskonale sobie radził. Połowa pułku mu zazdrościła. Dobrze się zapowiadał, a potem tylko Luśka, dzieciaki, ciepłe kapcie wieczorami. Rozleniwił się, przytył, ogłupiał, z kolegami kontakt stracił. Luśki pilnował i ze wszystkim jej się słuchał, pantoflarz zafajdany! Czas się opamiętać.

– Będzie dziś jakieś żarcie? – spytał cicho, jakby od niechcenia, broń Boże, żeby z naciskiem.

– Najpierw mi powiedz, skąd na to żarcie brać? – syknęła zaczepnie wracając do kuchni.

Uśmiechnął się błogo, aż miejsce po lewej, górnej dwójce zaczerniło pod wąsem. Oj Luśka, Luśka, nie wiesz skąd? – pomyślał – I nie dowiesz się, ale już niedługo wydawać nie nadążysz! Moja w tym głowa!

Uniósł się na łokciu.

– Luśka, mam cholernie dobry pomysł! Poczekaj jeszcze trochę, a na Sylwestra skoczmy do Paryżewa... albo na Kanary? Co?

– Idiota!

Usłyszał, choć powiedziane to było cicho.

Nie obraził się. Teraz, wobec pomysłu wszystko blakło, traciło znaczenie. Dziewczyny są od tego, żeby mieć muchy w nosie. Ta jego dziewczyna ma szczególny powód, psia krew! Głupio dał się z roboty wyślizgać, biedują teraz bo i ona dawno bez stałej pracy. Dorabia trochę jako kuchta i otrzyjdupsko u tych aferzystów zza parku, ale to wszystko mało. Długi rosną, a jego za cholerę nikt nie chce.

Wstał i poczłapał do kuchni. Jednak coś upitrasiała. Rozstawiała właśnie talerze i sztućce. Robiła to hałaśliwie, zamasyście, wściekła jak osa za koszulą. Lepiej się nie odzywać.

Pomysłem dzielić się ani myślał, bo to nie babska rzecz. A zresztą, im mniej ludzi o tym wiedzieć będzie, tym lepiej. Już dostatecznie mocno bolał go fakt, że współników musi szukać.

Gaz pod garnkiem się palił, a ona smyrknęła do łazienki, obmyła się trochę, przycesała, porwała torebkę.

– Za piętnaście minut zgaś pod zupą. Dzieciom zostaw!

Krupnik był gęsty, smaczny. Luśka, choć kawał cholery, gotuje doskonale. Niby nie ma co do garnka włożyć a potrafi wyczarować takie cudowności prawie z niczego. Raz jeszcze nalał sobie do pełna. Kiedyś przy sąsiadach i dzieciach pochwalił ją za kuchcienie, bardzo ją pochwalił, w rękę pocałował. Odpaliła mu wtedy:

– Trzeba ci było z kucharką się żenić!

Lekkiego życia to przy Luśce nie miał. Fakt. Do żywego dopiec umiała zawsze. Kłapania dziobem nie skąpiła, ale z drugiej strony, odkąd ją poznał ani raz za inną się nie obejrzał, bo i po co? Co komu po wróblu jak kanarka złapał? Dużo może o tym powiedzieć, bo za kawalerskich czasów wróbliczek nastrzelał się dość.

Sprzątnął po sobie, wyniósł stołek na balkon, siadł, odliczył papierosy. Porcję na dziś odłożył na wierzch, jednego zapalił i zaczął myśleć.

* * *

Od tego myślenia spać w nocy nie mógł i Luśce nie dawał. Rzucał się po pościeli, wzdychał, sapał, ze trzy razy okrakiem przez nią przełaził, niby do łazienki. Ostatnim razem kiedy wracał, zapytała:

– Czego nie spisz? Chory jesteś, czy co?

– Myślę. – Burknął.

– Dnia ci mało? Miesiącami nic nie robisz tylko myślisz i myślisz, a prąd nam odetnął za niepłacenie. Robotę byś sobie wymyślił!

– Właśnie wymyśliłem.

Nie zainteresowała się niebywałym wyznaniem. Poprzedni jego pomysł kosztował ją miesięczny zarobek, dwa pierścionki i medalik, a za dawniejszy do dzisiaj wiszą Maćkowiakowi niezły grosz. Napomknięcie o tych sprawach groziło awanturą.

Rozbudzona Luśka ziewnęła szeroko, przeciągnęła się lubieżnie odkopując na bok kołdrę. Zamajaczyły w półmroku jej czary. Dużo więcej jej się narobiło przez te lata. Na tapczanie, razem, ledwie się mieścili.

Nocne myślenie nie na wiele Gabrysiowi się zdało. Pobłądził w ciemnościach, na manowce go zniosło, zamiast plan zdobycia bogactwa misternie układać, jałowymi wizjami jego trwonienia umysł zabawiał. Na Luśkę ani spojrzał, ani się nią, jak trzeba, nie zajął, tylko legł pod ścianą, ręce za głowę założył i znieruchomiał. Odwróciła się obrażona.

Nie ma co się dziwić, tej nocy wydał w marzeniach więcej niż w życiu widział. Odespał za dnia. Luśka wyprawiła dzieci do teściów, a sama też z domu się wyniosła. Miał spokój.

Oprzytomniał wieczorem, kiedy natknął się na tę samą brykę, co wczoraj pod urzędem. Gość, jak wtedy, siedział w środku. Kropiło trochę, więc Gabrys specjalnie się nie dziwił, że facet w wozie siedzi. Czeką pewnie na kogoś, a że nudzi się to i gały wytrzeszcza na przechodniów. Gabrys wyszedł z psem, czego zasadniczo nie lubił, ale dzisiaj nie miał na kogo obowiązku zepchnąć. Dzięki temu zobaczył gościa i przypomniał sobie, że ma pracować nad planem, a nie fantazjować. Od tej godziny twardo nad myślami panował i na żadne skoki po bokach im nie pozwalał. Skoro świt był już gotów ułożyć ścisły harmonogram zadań do wykonania. Narobiło się tego od cholery,

a tak z początku wyglądało prosto. Wieczorem, drżąc z obawy, nakreślił kosztorys. Kamień spadł Gabrysiowi z serca skoro okazało się, że nakłady, wobec spodziewanego profitu, są doprawdy niewielkie.

Podopieczna Luśki, niemiła starucha, matka tego aferzysty, zaniemogła nagle bardziej niż to miała w zwyczaju, zyskał wobec tego sporo swobody.

Już w niedzielę miał plan gotowy w najdrobniejszych szczegółach. Teraz musi wziąć się za gromadzenie koniecznego sprzętu i zatroszczyć się o rzecz najtrudniejszą, o dobranie i zgodzenie współników. Niestety, bez tego się nie da! Potrzebował co najmniej trzech, a najlepiej pięciu.

Wypisał Gabryś nazwiska kandydatów na kartce, wielokrotnie listę poprawiał, tego skreślił, owego dopisał, wreszcie z trzaskiem notesik zamknął i poszedł spać. Po raz pierwszy od wtorku przespał noc snem głębokim i krzepiącym. Rano wstał świeży. Na umyte z wieczora nogi naciągnął nowe skarpety, ubrał się odświeżnie, prawie jak do kościoła i ruszył do miasta.

* * *

W drugiej kompani jego pułku (ile to już lat?) służył niejaki Zenek Szprycha dorównujący Gabrysiowi, a może nawet przewyższający go talentem w organizowaniu najrozmaitszych dóbr. Wyższość Szprychy polegała na tym, że kradł bez skrupułów, podczas gdy Gabryś bawił się w handelek. Niejeden interes wspólnie ubili, ale w cywilu stracili się z oczu. Szprycha poszedł za głosem powołania, po czym odpoczywał kilka lat, bodaj w Rawiczu. Gabrysiowi dotąd za kolegą z wojska tęskno nie było, bo niby dlaczego miałyby się kompromitować taką znajomością? Co innego teraz. Potrzebny fachman, choćby i ze skazą. Szprycha rozpoczął gabrysiową listę.

Znalazł go w miejskim katalogu firm. Nie było daleko, więc poszedł pieszo. Firma zajmowała pokój w mieszkaniu na trzecim piętrze, ale w bramie szyld wisiał okazały:

„Zenex. Eksport – Import. Pośrednictwo”. Wlazł Gabryś na to trzecie piętro i zadzwonił. Drzwi otworzył Szprycha we własnej osobie, osobie już lekko szpakowatej, pomarszczonej, ale zasadniczo nie zmienionej mimo upływu lat. Drobnym był ten

Szprycha, chuderlawy. Miał ciemne, rozbiegane oczki i ruchliwe ręce o palcach długich, szlachetnych w kształcie, jak u pianisty albo ginekologa. Oczkami obmacał Gabryś dokładnie, wskazał pokój zapraszającym gestem, najwyraźniej nie poznał.

– Zobaczyłem szyld. Wstąpiłem zapytać, co słychać? Jak żyjesz? Co porabiasz? Nie poznajesz?

– Ależ jasne, że poznaję, jak najbardziej. Fajnie, że wpadłeś! Siadaj. Czego się napijesz?

Oczka biegały mu dwa razy szybciej niż przy drzwiach. Przypominał psiaka na środku jezdni. Gabryś natomiast rozsiadł się godnie, jakby był prezesem korporacji mającej właśnie wchłonąć to liche przedsiębiorstwo. Rozparty w fotelu prezentował się okazale.

– Kawy nie odmówię – powiedział łaskawie zakładając nogę na nogę.

– Majka! Zrób nam po kawie! – Szprycha rzucił polecenie gdzieś w głąb mieszkania. Usiadł na przeciw i pstryknął rasowymi palcami.

– Patrz, cholera, co się z człowiekiem robi? Pamiętam cię doskonale, tylko imię mi ze łba wyleciało. – Klepnął się przy tym w czoło otwartą dłońią – Ech, dobre były czasy w Luxpolu, co? Tyle lat... tyle lat.

Gabryś uśmiechnął się szatańsko i popatrzył z taką ironią, jak nie przymierzając, straganiarz na ulicznego, sprzedającego z torby. Zenek brnął dalej. Uczepił się Luxpolu, musiał znać tam kogoś podobnego.

– Rozsypała się nasza luxpolowska paczka, rozlała. Bolek za granicą, Krata został dygnitarzem, jakimś podsekretnym, czy czymś takim, ja jak widzisz, męcę się tu, a ty, stary, co robisz? Wpadłeś pogadać, czy z interesem?

Gabryś podstępnie nie wyprowadzał Szprychy z błędu, obserwował. Ostatecznie nie można proponować współpracy byle komu. Musi wyczuć, zbadać, nabrać zaufania.

– Trochę tak, trochę tak. – odpowiedział dyplomatycznie.

Weszła Majka z kawą. Gabryś na jej widok jakby się skurczył, rezon stracił, a na Szprychę popatrzył z uznaniem i zawiścią. Dziewczyna wyglądała na lat dwadzieścia, najwyżej na dwadzieścia pięć. Miała długie, zgrabne nogi, które chętnie pokazała schyliwszy się nad stolikiem. Kształtną pupkę też uwidoczniła. Miała czarne, proste włosy i

niebrzydką buzię. Za gabrysiowy jęk i westchnienie odpłaciła uśmiechem pełnym zrozumienia. Postawiła tackę i wyszła.

– Mam! – krzyknął Szprycha strzelając palcami. – Wreszcie sobie przypomniałem! Przepraszam cię stary! – Wstał, wymierzając w gościa długi palec – Poznałem cię po spojrzeniu na dupę! Gabrys! Kurna! Utyłeś byku i te wąsy mnie zmyliły. Majka, chodź tu szybko!

Gabrys też wstał. Raz jeszcze uścisnęli sobie prawice, tym razem bez poprzedniej powściągliwości, wyklepali się po ramionach, a nawet zrobili niedźwiadka. Dziewczyna wróciła.

– Skoczże Majka po flaszkę! Kolega z wojska mnie odwiedził! Przywitaj się Majka z panem. Cieszę się stary, że cię widzę po tylu latach! Gdzieś się byku podziawał?

Gabrys przywitał się z Majką. Ze staroświecką galanterią pocałował jej szczupłą dłoń, co przyjęte zostało z wyraźnym zadowoleniem. Teraz dopiero popatrzył jej w oczy i aż się wzdrygnął. Migotały w nich jakieś pornograficzne obrazki. Niesamowite!

Szprycha wypchnął dziewczynę za drzwi manifestacyjnie klepiąc w tyłeczek, po czym wrócił na fotel. Wszystko stało się szybko, tak że Gabrys nie zdążył oprotować pomysłu z flaszką. Powaga planu wymagała trzeźwości, a ujęty serdecznym powitaniem już się był zdecydował zaproponować współnictwo właśnie Zenkowi.

– Przyszedłem z zaproszeniem do walca. – powiedział poważnym tonem.

– Nie byłeś tancerzem. – Szprycha też przybrał dostojną postawę. W oczkach zamigotały mu czujne błyski.

– Czasy parszywe, to i potaćzyć trzeba.

– Kto gra, a kto tańczy?

– Sami zagramy i sami zatańczymy. Wybrałem czas i sale na ten bal. Potrzebni tancerze i instrumenty.

– Ilu?

– Trzech do pięciu.

Twarze mieli poważne, skupione. Dwie wysokie, układające się strony.

– Psia krew! Jak stan morza, trzy do pięciu. Fajnie. Ilu już jest?

– Jeśli wchodzisz, to nas dwóch.

Posłowie

Leon Brofelt – kilka słów o autorze i "Aniele w majonezie"

Z Leonem znamy się od dziecka. To znaczy, gdy ja byłem dzieckiem, on już był. Starszy kolega, przewodnik i wodzirej, czasami mentor, częściej podrzegacz. Zawsze otoczony lekką mgiełką tajemniczości, którą to mgiełkę – odkryłem ten fakt znacznie później – sam tworzył. Sierota. Ponoć wywodzi się ze szlachty kurlandzkiej. Jedna z gałęzi rodu spolszczyła się całkowicie przybierając nazwisko Dobropolscy. Możliwe, choć mało prawdopodobne. Pamiętam, że opiekunowie sieroty nosili banalne nazwisko... Wiśniewscy. Czasami skłaniam się do teorii, że nazwisko i imię sam sobie wymyślił, i że jest to anagram imienia jednej z postaci greckiej mitologii. Niech tam, mniejsza z tym. Faktem jest, że nazwisko Brofelt wzięło się w paszporcie nie wiedzieć skąd. Paszporcie nie polskim, żeby nie było nieporozumień.

W każdym razie wychowywaliśmy się razem w Zagłębiu Dąbrowskim i tam niekiedy się spotykamy zawsze w niezmiennej przyjaźni.

Leon lubi przepadać na całe lata nie wiadomo gdzie. Ostatnio – na przykład – spotkaliśmy się w londyńskim pubie przy Picadilli Circus. Niby przypadkowo, ale jak się okazało po dłuższej rozmowie, wiedział o moim pobycie w stolicy Zjednoczonego Królestwa od wspólnych znajomych.

Gdy osiągnął pełnoletność (w epoce Gomułki) wystarał się o paszport i ruszył w szeroki świat i... tak mu zostało. Nie wiadomo, gdzie mieszka na stałe. Pewnie nigdzie, bo zawsze zagrzanie miejsca na dłużej przychodziło mu z wielkim trudem. Niemniej chętnie wraca do kraju dzieciństwa a od kilku lat – dzięki moim namowom – również pisze. Niezbyt wiele i zupełnie nie zabiega o publikacje. Te kilka opowiadań,

które zamieściłem niegdyś w redagowanym przez siebie piśmie, dosłownie wymusiłem na nim. Podobnie, jak utwory zebrane w tym tomiku.

Czy warto było? Przeczytajcie i oceńcie. Żeby nie ulegać tylko własnym upodobaniom próbowałem uzyskać opinię innych. Oto garść zdań na temat prozy Leona Brofelta:

Aleksander Wilkoń, poeta, profesor literatury uniwersytetu w Neapolu: Jego proza zmierza ku daniu świadectwa prawdzie o przemianach współczesnej Polski, jest uczulona na konkret, fakt, ale także na pogłębioną charakterystykę psychologiczną. Chętnie korzysta ze struktur dialogowych umożliwiających wielostronne ujęcie danego motywu czy refleksji. Zwracają uwagę wartości stylistyczne polszczyzny.

Jerzy Przeździecki, prozaik i dramaturg: jako uczestnik tej samej "dyscypliny sportowej" (dyszacy w biegu) mogę tylko po koleżeńsku... Doskonałe opowiadania. Poczystość, świetne, współczesne dialogi. Swoboda w czasie i przestrzeni. Pointa seksowna mile. Gratulacje.

Ps. Odnosze tylko wrażenie, że zapis zbyt – jakby to określić – zbyt płynnie i za mało meandrycznie zmierza do finalnych zwieńczeń. Ale... cóż ja wiem? Może na lekkości polega urok tej prozy.

Sabina Nowakowa, urzędniczka: ...ale świntuch. To chwilami pornografia, ale podoba mi się, w żadnym razie nie jest ordynarna. Nie rozumiem tylko tych niedopowiedzeń i aluzji, to było tak dawno.

Izydor Łęski, emerytowany dziennikarz: Pamiętam, w połowie lat siedemdziesiątych obiegła kraj plotka o wydarzeniu w Cz. (opowiadanie zaduszne). Węszyliśmy, gdzie tylko można i... nic. A tu proszę, podane jak na tacy. Oczywiście, opowiadania nie można traktować jak reportażu, ale wiele się zgadza.

Opowiadania tu zebrane wyraźnie dzielą się na dwie grupy: dłuższe teksty na początku tomu tematyką związane są z pierwszym okresem przemian ustrojowych, poza Pociągami, W sanatorium i – do pewnego stopnia – Pomyłką. Tytułowy Anioł w majonezie, Pomysł, Romeo i Lukrecje, Tapczan, Kumulacja, to wyraźna satyra na stosunki w końcu wieku. To obrazki – czasem śmieszne, czasem łzawe – trudności, z ja-

kimi borykali się rodacy w pierwszych latach przemian. Niektórzy wciąż mają kłopoty. Zderzenie oczekiwań z rzeczywistością dawało niekiedy komiczne efekty. Trzeba tylko – jak Leon Brofelt – właściwie spojrzeć. Te teksty łączy jeszcze jedno. W każdym mamy do czynienia z czymś niewytłumaczalnym, niesamowitym zbiegiem okoliczności, bądź siłą tajemną nie wiedzieć, rzeczywistą czy urojoną. I nie wiadomo, czy autor kpi z powszechnej wiary w takie zjawiska, jak telepatia na przykład, czy wręcz przeciwnie, nadaje im rangę siły sprawczej. Tu w każdym opowiadaniu pozycja narratora jest inna, język stosowny do tematu, różny w każdym tekście, bo też narrator jest zawsze kimś innym. Czasami to "wszystowiedzący" demiurg, czasem uczestnik zdarzeń. I jeszcze jedno: wszystkie kończą się ostrą, zaskakującą pointą, nie zawsze z seksualnym podtekstem (jak był uprzejmy zauważyć pan Jerzy Przeździecki), choć – trzeba przyznać – dość często.

Zupełnie inaczej rzecz się przedstawia w drugiej części. Temat: przygody młodości w "cudownych" latach sześćdziesiątych (tylko Soso w przedszkolu dotyczy lat o dekadę późniejszych). To krótkie opowiadania, chciałoby się rzec, opowiadanka, niezmiennie erotyczne (co zresztą dotyczy całego zbioru), niekiedy bardzo śmiałe. Czy ktoś zna precedens opowiedzenia w pierwszej osobie o dokonanym niegdyś gwałcie i to w tonie kpiarskim, lekkim, w żadnym razie nie w duchu horroru ani łzawego biadolenia?

Narratorem jest ta sama osoba, ten sam, młody wówczas człowiek, nastawiony do rzeczywistości kpiarsko, przy tym nad wyraz krytycznie, ale przecież z radością życia i... użycia. Mamy tu też do czynienia z wydarzeniami historycznymi ciążącymi nad całym pokoleniem. To sławny marzec 68 i rok poprzedzający godne ubolewania wypadki. Ale były też... cudowne wakacje i stosowne do nich przygody.

toko